

Rozmowa z Adamem Sikorą*

Redakcja – Panie Profesorze, chcielibyśmy zajrzeć za kulisy Pana twórczości naukowej. Od początku, od pracy magisterskiej poświęconej Libeltowi, zajmuje się Pan filozofią romantyczną. Otóż, chcielibyśmy rozmawiać nie tyle o romantyzmie, ile o Pana fascynacji nim. Dlaczego wybrał Pan tę filozofię? Dlaczego pozostał Pan przy niej aż do dziś?

Adam Sikora – Może zacznę od czegoś innego, a mianowicie od tego, że kiedy człowiek spogląda wstecz, to konstruuje swoją biografię. Obawiam się, iżby w tym, co będę mówił, nie było za wiele konstrukcji. Z pewnością w każdej biografii jest dużo przypadkowości, którą potem próbuje się zinterpretować, nadając jej jakiś głębszy sens.

Red. – Rozumiemy, że nasze pytanie o źródła Pana fascynacji romantyzmem musimy podzielić na dwie części; a więc, po pierwsze, jaki przypadek sprawił, że zwrócił się Pan ku romantyzmowi polskiemu?

A.S. – W moim wypadku tym przypadkowym czynnikiem było VI Plenum KC PZPR, chyba w 1954 roku, poświęcone sprawom narodowym.

Red. – Co owo Plenum miało wspólnego z Pana pracą naukową?

A.S. – Jego skutkiem było to, że mi po prostu polecono zająć się filozofią polską. I wtedy pomyślałem, że jeśli już mam zajmować się sprawami polskimi, to trzeba zająć się takimi rzeczami, które są w miarę interesujące i które zarazem dotyczą takiej problematyki, która nie jest problematyką czysto regionalną, ma natomiast europejski sens i europejską wartość. Wtedy właśnie pomyślałem sobie, że jedyną taką epoką, która ma sens nie tylko regionalny, jest właśnie epoka romantyzmu.

Red. – To stwierdzenie brzmi dziś jak oczywistość, ale przypomnijmy, że wówczas oczywistością nie było. Marksizm w wersji leninowsko-stalinowskiej cenił sobie przede wszystkim Oświecenie, do Romantyzmu natomiast odnosił się negatywnie. Dla tego typu marksizmu romantyzm był zjawiskiem reakcyjnym.

A.S. Może tak było, ale nie w moim przypadku. Zwracając się do romantyzmu, nie zamierzałem tropić czegoś, co jest złe, co należałoby zdemaskować. Zaczynałem od Libelta i niemal natychmiast zacząłem zajmować się mesjanistami: Towiańskim, Hoene-Wrońskim, Mickiewiczem. Zajmowałem się nimi nie w celach refutacyjnych.

* Ze strony Redakcji w rozmowie udział wzięli Andrzej Kołakowski i Jerzy Niecikowski. Wywiad przeprowadzony przez nas na przełomie 1989 i 1990 roku jest jedynym, jakiego dotychczas udzielił Profesor Adam Sikora. Tekst nie był autoryzowany.

Red. – No właśnie, wyjaśniliśmy, jaki przypadek popchnął Pana do studiów nad romantyzmem, ale teraz widzimy wyraźnie, że nie szło wyłącznie o przypadek. A więc jakie były źródła Pana fascynacji filozofią romantyczną?

A.S. – To nie jest sprawa prosta. W jakimś sensie była to dla mnie ucieczka w historię przed rzeczywistością, która jawiła mi się jako obrzydliwa. Ale nie tylko o to chodzi. W tamtym czasie, na początku lat pięćdziesiątych interesowała mnie problematyka historii czy historyczności ludzkiego istnienia i stąd zainteresowanie romantyzmem.

Red. – Sformułujmy nasze pytanie dosadniej. Powiedział Pan, że szukał czegoś, co byłoby ciekawe. A przecież w powszechnym odczuciu ludzie tacy jak Towiański czy Wroński to są po prostu nudziarze. Co Pana w nich pociągało?

A.S. – Nie sądzę, żeby to była ocena sprawiedliwa i nie myślę, by to było właściwe rozpoznanie sytuacji. Na przykład los mojej książeczki o Towiańskim wskazywałby na coś innego. Ta książeczka miała dwa kolejne wydania, które szybko zostały wyczerpane. Chętnych czytelników znalazło się sporo.

Red. – No tak, ale nie wiemy, czy była to zasługa tej książki czy Towiańskiego. Tak czy inaczej, ciągle nie mamy odpowiedzi na pytanie. W czasach, gdy poświęcił się Pan studiowaniu Towiańskiego, uchodził on za mistyka i irracjonalistę, a obydwa te określenia stanowiły wówczas epitety zdecydowanie negatywne.

A.S. – Nawet gdybym wtedy przyjął z dobrą wiarą te określenia, które wówczas rzeczywiście tak funkcjonowały, to przecież wszedłszy w ten świat, usiłowałem przede wszystkim go zrozumieć, to znaczy uchwycić naczelne intencje i zobaczyć nie tylko to, co ci ludzie mówią, lecz także przeciw komu mówią i jakie wyrażają doświadczenie. Wydał mi się ten świat interesujący jako próba zawiązującej się dopiero odpowiedzi na fundamentalne pytanie dotyczące naszej sytuacji w świecie, a zwłaszcza w świecie historii.

Red. – Czy miał Pan poczucie, że doświadczenie romantyków koresponduje z Pana osobistym doświadczeniem, czy – powiedzmy – z doświadczeniem pokoleniowym?

A.S. – Może nie pokoleniowym, ale sporo rzeczy dla siebie w tych lekturach odnajdowałem. Jak gdyby otwierał się przede mną nawias, w którym mieścił się całkiem inny świat niżli ten, który mnie otaczał. I było to bardzo interesujące.

Red. – Ale nie zaprzeczy Pan, że rzeczywiście istniał jakiś rodzaj korespondencji między doświadczeniami romantyków a Pana doświadczeniem. Czy była to zatem korespondencja natury problemowej, taka oto, iż w latach czterdziestych i na początku lat pięćdziesiątych pojawia się w marksizmie pytanie o sens historii, o prawa historii, o miejsce człowieka w niej, czy też był tu jakiś

inny typ korespondencji? Czy np. odegrał jakąś rolę taki motyw, że świat lat pięćdziesiątych, w którym się te problemy pojawiały, mógł być odbierany jako świat sztucznie skonstruowany, podczas gdy dla romantyków tamte problemy związane z historią były autentyczne, oni byli prawdziwi ze swoimi problemami?

A.S. – Myślę, że swoją rolę odegrało jedno i drugie. Z pewnością pytanie o miejsce człowieka w dziejach związane było z moim własnym doświadczeniem. Zarówno to pytanie, jak i doświadczenia własne odsyłały do początków problemu. Dla naszego kręgu kulturowego, a zwłaszcza dla kultury polskiej, tym początkiem jest właśnie myśl romantyczna. To była pierwsza tak niesłychanie ambitna próba uporania się z historycznością ludzkiego bytu, uświadomienia sobie tej historyczności a zarazem próba jej przełamania, to znaczy odnalezienia czegoś, co ponad historię wyrasta, czy czegoś, co spoza historii niejako, nadaje dziejom sens. Z pewnością był to jeden z tych wątków, który skłonił mnie do tego, żebym peregrynował w przeszłość, w epokę romantyzmu. Z pewnością swoją rolę odegrał i ten drugi wątek, to znaczy próba ucieczki od świata sztucznego, świata pozorów, świata w jakimś sensie obrzydliwego. Poszukiwałem tedy czegoś innego i wydawało mi się, że odnajdowałem to coś innego w owej zamierzchłej epoce, to znaczy narodziny tych problemów, które były także moimi problemami. Problemami nie tyle związanymi z tym, co wyczytałem u Lenina czy Stalina, ale z tym, z czym zetknąłem się przy okazji studiów nad Heglem, a zwłaszcza tych studiów, które odbywałem pod kierunkiem Tadeusza Krońskiego. Mam tutaj ogromny dług wdzięczności, zwłaszcza wobec jego studium na temat problemu zła moralnego w heglowskiej filozofii dziejów.

Red. – Marksizm Lenina i Stalina głosił, że rozwiązuje wszelkie zagadki historii. Dlaczego te rozwiązania nie zadowolili Pana?

A.S. – Otóż funkcjonowałem w świecie, który był światem ciemności. Myślę tu o doświadczeniu okupacyjnym, o doświadczeniu postokupacyjnym i główną intencją moich poszukiwań było to, żeby w tym świecie ciemności znaleźć jakieś światło. Były to próby nadania swojemu życiu jakiegoś sensu czy też odnalezienia w nim jakiegoś sensu. To, co mi proponowano, to była doktryna, która nakazywała godzić się z zastanym biegiem rzeczy i odnajdywać w nim jakąś rację niezłomną. Innymi słowy, mój zwrot do romantyzmu był próbą poszukiwania jakiegoś azylu dla wolności ludzkiej.

Red. – Tu jednak nasuwa się pewna wątpliwość. Pisząc o swoich bohaterach sam Pan często przyznaje, że były to próby filozoficznie nieudane.

A.S. – To nie jest ważne. Nie ma udanych prób, w każdym razie nie mamy do tej pory udanej próby odpowiedzi na pytanie o naszą sytuację w świecie, nie ma udanej odpowiedzi na pytanie o to, co z nami w historii i z samą historią się dzieje. Są tylko próby różne. Otóż romantyzm był jedną z takich

prób, wskazującą na pewne idee regulatywne, na pewne możliwości zrozumienia historii.

Red. – Trudno wszakże oprzeć się wrażeniu, że Pana stosunek do romantyzmu jest dość wieloznaczny. O większości swoich bohaterów pisał Pan z ironią, ciepłą wprawdzie, ale zawsze z ironią. A czymże jest ironia, jeśli nie znakiem dystansu?

A.S. – To rzeczywiście racja. Wobec moich bohaterów zajmuję dystans i to dystans ironiczny. Jednak nie dotyczy to wszystkich, jest jeden bohater, do którego nie mam ironicznego dystansu...

Red. – Mickiewicz.

A.S. – No właśnie.

Red. – Dlaczego on?

A.S. – Może najpierw powiem, dlaczego towarzyszy mi uczucie dystansu w stosunku do tych wszystkich proroków, którymi się zajmowałem. Związane jest to z tym, że każdy z nich dosięga absolutu. To znaczy ich rewizjonizm w myśleniu o historii kończy się dogmatyzmem. Otóż bez przerwy miałem takie poczucie, że w filozofii wartość mają nade wszystko poszukiwania, a nie odpowiedzi, które z reguły mają charakter prowizoryczny.

Red. – Ale czy nie stajemy tutaj wobec pewnego wyboru: albo pewien rodzaj dogmatyzmu, do którego dochodzi myśl krytyczna, albo też skrajny i odpowiednio do tego jałowy relatywizm?

A.S. – To nie jest takie proste. Absolut dla każdego z nas jest wyzwaniem. Można by rzec, że myślenie o absolicie jest rysowaniem pewnych idei regulatywnych, to znaczy ukazywaniem czegoś, do czego dążymy. Usiłujemy nadać sens światu i własnemu życiu w tym świecie, tęsknimy do tego, iżby ten sens był już sensem ostatecznym. Absolut jednak jest czymś takim, co się ustawicznie od nas oddala, w miarę jak się do niego zbliżamy. Można by powiedzieć, że perspektywa ta ewokuje coś takiego, co Hegel nazwał złą nieskończonością. Ale to jest właśnie nasza kondycja ludzka, polegająca na tym, że wszystko jest przed nami, że każda nasza odpowiedź, wartościowa przez wysiłek jej udzielania, nigdy nie jest ostateczna. Zawsze jest prowizoryczna. Świadomość tego skłania nas do wysiłku, do poszukiwania, do tego, iżby nie poprzestać na odpowiedzi udzielonej raz na zawsze i ważnej raz na zawsze.

Red. – Czy to znaczy, że powinniśmy stale trudzić się, jednocześnie pytając o to, dlaczego się tak trudzimy?

A.S. – Ja w ogóle myślę, że dla filozofii ważne są nade wszystko pytania. Pytania, które stanowią o ruchu naszej myśli, które są dla nas wyzwaniem.

Red. – Zatem nie rezultaty myśli są ważne?

A.S. – Tak, najważniejsza jest sama myśl. Myśl, która poszukuje.

Red. – Chcielibyśmy wrócić jeszcze do pewnej sprawy. Powiedział Pan, że w pewnym sensie uciekł Pan do romantyzmu ze świata ciemności. Dlaczego nie zwrócił się Pan do wieku światła, to znaczy do Oświecenia?

A.S. – Jeśli konstatujemy, że ciemność należy do porządku świata, który nas otacza, to naszym zadaniem jest przyjąć ciemność jako punkt wyjścia, a następnie podjąć próbę jej rozświetlenia. Trzeba odnaleźć jakiś jej sens, natomiast Oświecenie nie interesowało mnie dlatego, że ono niejako spuszczało zasłonę na tę kwestię. Dla Oświecenia mianowicie rzeczywistość jest układem klarownym, przejrzystym, świat jest światem ładu, porządku fizyczno-moralnego, a wszystko to, co przynależy do sfery ciemności, jest tylko czymś akcydentalnym, jest funkcją błędu, przesądu, nie ma istotowego znaczenia. Romantyzm natomiast wyszedł od pewnej faktyczności, od tego, że świat jest taki, jaki jest, razem ze złem i niemoralnością, która przynależy do rzeczywistości historycznej, a nie jest tylko aberracją tejże historii. Romantyzm postawił przed sobą zadanie zrozumienia tej faktyczności, zrozumienia zła i jego miejsca w świecie nie przez eliminację zła, odmówienie mu istotowego charakteru. W tym sensie zainteresował mnie romantyzm jako pewna formacja intelektualna, która zdawszy sobie sprawę ze stanu świata, usiłowała go zrozumieć w jego pełni, nie zaś poprzez amputację czy usunięcie jakiejś problematyki, która zostaje uznana za incydentalną, przypadkową czy nieistotną.

Red. – Wróćmy jeszcze do jednej sprawy. Do większości myślicieli romantycznych odnosi się Pan z dystansem, czyniąc wyjątek dla Mickiewicza. Dlaczego? Przy tym ta ocena autora „*Dziadów*” dotyczy myśliciela, a więc geniusz poetycki nie może tutaj wyjaśnić sprawy.

A.S. – Na czym polegała różnica między Towiańskim czy Wrońskim a Mickiewiczem? Różnica polegała na tym, że oni znaleźli ostateczne rozwiązania i od buntu przeciwko historii przeszli do pogodzenia się z historią. Sporo pisałem o demoralizujących skutkach buntu romantycznego, który kończy się na całkowitej akceptacji rzeczywistości. Oni byli przekonani, że los świata został rozstrzygnięty i przesądzony przez ich własną działalność, przez to, że oni właśnie wzniesli się do prawdy, że w świetle tego, co powiedzieli, wszystko zostało wyjaśnione i wszystko zostało przesądzone; przez ich wystąpienie historia jakby się skończyła, albowiem osiągnęła swój cel. Chodzi już tylko o to, a jest to wyłącznie kwestia czasu, żeby ludzkość wcześniej czy później popędzić do tego zamknięcia w absolicie. Otóż takich ostatecznych formuł nie znajdzie się u Mickiewicza. U niego jest stała i nieustanna gotowość do przemyślenia własnego stanowiska. On nie rozwiązuje antynomii, ale

ustawicznie te antynomie mnoży, dochodząc do przekonania, że nic nie jest ostatecznie zamknięte, zakończone, że konieczny jest stały wysilek. Innymi słowy – choć może zabrzmieć to patetycznie – Mickiewicz to jest ten prawdziwy duch-rewolucjonista.

Red. – Na zakończenie jeszcze dwa pytania. Większości czytelników jest Pan znany przede wszystkim jako popularyzator. Pana książki o filozofii i filozofach osiągnęły wiele wydań i dziesiątki tysięcy nakładu. Jakie miejsce popularyzacja zajmuje w Pana twórczości?

A.S. – Z pewnością jest to rzecz dość ważna. Mam takie poczucie – być może właśnie dziewiętnastowieczne – pewnej misji nakazującej dostarczać publiczności materiału do przemyśleń, poczucie, że ma sens prezentowanie prób odpowiedzi na zasadnicze pytania przy jednoczesnym ukazywaniu ich nieostateczności właśnie po to, by apelować o ruch samodzielnej myśli.

Red. – Pozostaje jeszcze kwestia Pana twórczości literackiej. Jak to się stało, że uczony o ugruntowanej pozycji sięgnął po pióro, żeby pisać opowiadania?

A.S. – Mógłbym zrobić unik odpowiadając, że człowiek chętnie robi to, do czego nie jest przygotowany, by stosować płodozmian.

Red. – Nie przyjmujemy tej odpowiedzi, gdyż utwory te nie są świadectwem poszukiwania relaksu czy odpoczynku od poważniejszych zadań.

A.S. – Mnie w ogóle bardziej interesuje nie opis tego, co naprawdę było, ale opis pewnej drogi życiowej ludzi, którzy usiłują to, co było, czy to, co jest, zrozumieć. Innymi słowy, bardziej od biografii zewnętrznej interesuje mnie prawda wewnętrzna, mianowicie próba oswojenia rzeczywistości, próba odnalezienia sensu nie tylko w świecie, ale przede wszystkim we własnym życiu. Także moja twórczość naukowa tym może różni się od prób najczęściej uprawianych w zakresie filozofii, że koncentruje swoją uwagę na takim portrecie intelektualnym. To znaczy, że każda moja książka jest próbą ukazania pewnych ogólnych stanowisk przez pryzmat drogi myślowej i biografii poszczególnych ludzi, przy tym ważna jest nie tylko droga myśli, lecz także znaczący szczegół biograficzny, który tę myśl inspiruje, pobudza, stanowiąc zarazem dla niej papierek lakmusowy, kryterium przyjęcia bądź też odrzucenia. Z tego punktu widzenia doświadczenie literackie jest równie istotne, czy może nawet bardziej istotne. Nie powiem, że bym umiał robić literaturę, jestem absolutnie przekonany, że nie umiem tego robić, ale na tej drodze mogę powiedzieć coś więcej, to znaczy mogę powiedzieć więcej o świecie wewnętrznym człowieka, o drogach myśli ludzkiej, nie odwołując się do sfery zobiektywizowanych faktów.

Red. – Z tego, co Pan powiedział, wynika, że w przyszłości należy się z Pana strony spodziewać kolejnego portretu. Kogo ma Pan zamiar teraz sportretować?

A.S. – Prawdę powiedziawszy, to tymi portretami już jestem zmęczony i może przyszedł czas, żebym od nich wzniósł się do czegoś takiego, co będzie mieć charakter syntetyczny.

Red. – A jednak.

A.S. – No tak, tak. Myślę sobie, że do problemu romantyzmu podchodziłem od różnych stron, zajmowałem się i mesjanizmem, i utopią; być może powoli zbliża się czas, w którym mógłbym jeszcze raz przemyśleć to wszystko, jeszcze raz zebrać te doświadczenia i stworzyć coś takiego, co byłoby portretem także, ale już portretem epoki.

Red. – Będziemy niecierpliwie czekać. Dziękujemy za rozmowę.

Andrzej Kołakowski

Adama Sikory portrety filozoficzne

Popularyzowanie jakiegokolwiek dziedziny wiedzy jest przedsięwzięciem bodaj trudniejszym aniżeli dodawanie przyczynków czy nawet ważnych odkryć do uprawianej przez uczonego dyscypliny. Pracując w gabinecie lub w laboratorium, uczony porusza się nie tylko wśród pasjonujących go zagadnień, lecz także wśród fachowców i takich jak on pasjonatów, których nie trzeba przekonywać, że to, co robią, jest ważne, interesujące, warte poświęceń. Porozumiewa się z nimi szyfrem dostępnym tylko dla wtajemniczonych, często towarzyszy mu poczucie, że przebywa w rejonach wyższych, godniejszych przez swą niedostępność dla przeciętnych ludzi, ci zaś czasem darzą go podziwem, częściej chyba jednak ironią, pobłażliwym lekceważeniem należnym oderwanym od codziennego życia maniakom. Uczony popularyzator chce dotrzeć z wiadomościami o przedmiocie swej pasji do zwykłych, szarych, zabieganych ludzi, narażając się na pogardliwe docinki ze strony fachowców utrzymujących się na swych wyżynach bądź na obojętność czytelników zafascynowanych noblistami, odkrywcami, dobroczyńcami ludzkości.

Niewielu udaje się zyskać uznanie fachowców i sympatię zwyczajnych czytelników – należy do nich niewątpliwie Adam Sikora jako autor popularnych *Spotkań z filozofią* oraz opowieści o siedmiu filozofach greckich czy o siedmiu filozofach XVII wieku. Popularyzować swą dziedzinę wiedzy trzeba bowiem umieć, mieć do tego talent nie mniejszy niż do pracy badawczej. Książki popularyzatorskie tego autora charakteryzują się nie tylko przejrzystym uporządkowaniem materiału i podkreśleniem głównych problemów filozoficznych, wokół których koncentrują się dylematy i rozgrywają dramaty intelektualne, lecz także właściwym wyważeniem proporcji pomiędzy rangą i skalą